

Philip K. Dick - Sonda przyszłości

www.bookswarez.prv.pl

Weszli do wielkiego pomieszczenia. W drugim koncu technicy pochyłali się nad ogromną oświetloną tablicą śledząc skomplikowany układ światel który zmieniał się szybko, w niezliczonych kombinacjach. Na długich stołach pracowały maszyny - komputery obsługiwane przez ludzi i przez roboty. Ściany, dosłownie co do centymetra kwadratowego, pokryte były wykresami. Hasten rozglądał się oszolomiony.

Wood rozesmiał się.

- Chodź no tutaj, to ci pokażę coś naprawdę ciekawego. Poznajesz to, prawda? - Wskazał pokazanych rozmiarów maszynę otoczoną przez milczących mężczyzn i kobiety w białych fartuchach.

- Poznaje - powiedział wolno Hasten. - To coś w rodzaju naszej sondy, tylko dwadzieścia razy większe. Co sondujecie? I kiedy? - Przejechał palcami po zewnętrznej płytce sondy, a następnie przykucnął zaglądając jej w paszczę. Otwór był zamknięty; sonda pracowała. - Gdybyśmy mieli choć blade pojęcie, że coś takiego istnieje, toby badania historyczne...

- Teraz już macie. - Stojący obok Wood pochylił się. Posłuchaj, Hasten, jesteś pierwszym człowiekiem spoza Departamentu, który został wpuszczony do tego pomieszczenia. Widziałeś strażników. Nikt nie upoważniony nie ma prawa tutaj wejść; straż ma polecenie zabić każdego, kto by próbował dostać się tu nielegalnie.

- Żeby ukryć coś takiego? Maszyny? Strzelalibyście do... Stali naprzeciwko siebie, twarz Wooda była surowa.

- **Wasza** sonda sięga starożytności. Rzym. Grecja. Kurz i stare księgi. - Wood dotknął ogromnej maszyny. - Ta jest inna. Strzeżemy jej z narazieniem własnego życia i życia innych - wiesz dlaczego?

Hasten gapił się na maszyny.

- Ta sonda jest nastawiona nie na starożytność, tylko na przyszłość. Wood spojrzał Hastenowi prosto w oczy. Rozumiesz? Przyszłość.

- Sondujecie przyszłość? Ależ tego nie wolno robić! To jest zabronione przez prawo, wiesz o tym przecież. - Hasten cofnął się. Gdyby Rada Naczelna o tym wiedziała, rozwaliliby ten budynek. Zdajesz sobie sprawę, jakie jest zagrożenie. Sam Berkowsky je przedstawił w swojej oryginalnej pracy.

Hasten przechadzał się ze złością.

- Zupełnie nie rozumiem, jak możecie się posługiwać sondą skierowaną w przyszłość. Czerpiąc materiał z przyszłości automatycznie wprowadzacie do teraźniejszości nowe czynniki; przyszłość się zmienia - a tym samym zapoczątkowujecie niekończące się przesunięcia. Im bardziej się w tę przyszłość zagłębiacie, tym więcej wnosicie nowych elementów. Stwarzacie niestabilne warunki dla przyszłych wieków. Dlatego to prawo zostało ustanowione.

Wood skinął głową.

- Wiem.

- A mimo to w dalszym ciągu te przyszłości drążyacie? - Hasten wskazał na maszyny i na techników. - Na miłość boską, dajcie spokój! Zaprzestanie tych praktyk, zanim wprowadzicie

jakis grozny czynnik, którego już się nie da usunąć. Dlaczego bez przerwy...

Wood zamamlał się nagle.

- Wiesz, co ci powiem, Hasten, przestan nas pouczać. Za późno na pouczanie; to się już stało. Ten grozny czynnik został wprowadzony podczas naszych pierwszych eksperymentów.

Mysleliśmy, że nad tym wszystkim panujemy... - Spojrzał na Hastena. - I właśnie dlatego cie tu sprowadziliśmy. Siadaj, proszę, i słuchaj.

Siedzieli naprzeciwko siebie i patrzyli sobie w oczy poprzez szerokość biurka. Wood splótł ręce.

- Nie będę owijał w bawełnę. Jesteś uważany za eksperta, największego eksperta w sprawach badań historycznych. Wiesz o działaniu Sondy Czasowej więcej niż ktokolwiek z żyjących; dlatego pokazaliśmy ci naszą pracę, naszą nielegalną pracę.

- A już wpadliście w tarapaty?

- I to jeszcze jakie. Każda próba ingerowania w przyszłość tylko te kłopoty pogłębia. Jeżeli szybko czegoś nie zrobimy, zapiszemy się w historii jako jedna z najbardziej zbrodniczych organizacji na świecie.

- Zaczynaj od samego początku poprosił Hasten.

- Projekt został zatwierdzony przez Radę Nauk Politycznych; chcieli poznać skutki niektórych swoich decyzji. Początkowo sprzeciwiliśmy się powołując się na Berkowsky'ego, ale sama idea działa jak narkotyk. Ugieliliśmy się i sonda została zbudowana oczywiście potajemnie. Pierwszej próby dokonaliśmy jakiś rok temu. Żeby się zabezpieczyć przed czynnikiem Berkowsky'ego, spróbowałismy pewnego wybiegu otóż nic nie wzięliśmy z przyszłości. Ta sonda jest tak zbudowana, że nic nie zabiera, żadnego przedmiotu - po prostu fotografuje z dużej wysokości. Do nas przychodzi film. My go powiększamy i staramy się odtworzyć warunki w formie trójwymiarowego obrazu.

Początkowo wyniki były bardzo dobre. Ustąpiły wojny, miasta zaczęły się rozwijać, wyglądały coraz lepiej. Powiększenia scen ulicznych pokazują ludzi zadowolonych, przynajmniej pozornie. No, może poruszali się trochę wolniej.

Wobec tego wyskoczyliśmy o pięćdziesiąt lat naprzód. Jeszcze lepiej: miasta jakby się zmniejszały. Ludzie nie byli tak uzależnieni od maszyn. Więcej trawy parków. Ogólne warunki te same - pokój, szczęście, sporo wolnego czasu. Bez zbędnej nerwowości, pośpiechu.

Dalej więc sondowaliśmy przyszłość. Oczywiście stosując metodę oglądu nie wprost nie mogliśmy być niczego na sto procent pewni, ale wszystko wyglądało bardzo dobrze.

Przekazaliśmy nasze informacje Radzie, która planowała dalej. I wtedy to się stało.

- Ale co dokładnie? - Hasten nachylił się z zaciekawieniem.

- Postanowiliśmy jeszcze raz zapuścić się w okres, który już wcześniej fotografowaliśmy - jakies sto lat w przód. Wysłaliśmy sondę, która wróciła z pełną taśmą. Po wywołaniu zaczęliśmy ją oglądać. - Wood przerwał.

No i?

- I to już nie było to samo. Było to coś zupełnie innego. Wszystko się zmieniło. Wojna - wszędzie wojna i zniszczenie. Wood wzdygnął się. - Ogarnęło nas przerażenie; ponownie wysłaliśmy sondę, żeby się upewnić.

- No i co tym razem?

Wood zacisnął pięści.

Znowu zmiana, i to na gorsze! - Ruiny, ogromne ruiny. I grzebiący w nich ludzie. Wszędzie zniszczenie i śmierć. Pogorzelisko. Koniec wojny, ostatnia faza.

- Rozumiem - powiedział Hasten kiwając głową.

- Ale to jeszcze nie jest najgorsze! Przekazaliśmy te wiadomości Radzie. Zaprzestala wszelkiej

działalności i odbyła dwutygodniowa konferencje; w jej wyniku cofneta wszelkie zarządzenia i odwołala plany oparte na naszych raportach. Uplynal miesiac, zanim znowu sie z nami skontaktowali. Członkowie Rady zazadali, zebysmy raz jeszcze zapuscili sonde w ten sam okres. Odmówilismy, ale oni nalegali. Nic gorszego juz byc nie moze - argumentowali.

No wiec znów wyslalismy sonde i znów obejrzelismy film. Mozesz mi wierzyc, Hasten, sa rzeczy gorsze niz wojna. Nie uwierzylbys w to, co widzielismy. Calkowity brak zycia ludzkiego; ani jednej ludzkiej istoty.

- Wszystko zniszczone?

- Nie. Zadnego zniszczenia, miasta wielkie i okazale, drogi, budynki, jeziora, pola. Ale nigdzie nie ma ludzkiego zycia; miasta puste, funkcjonuja mechanicznie - maszyny, przewody nietknie. Tyle ze bez ludzi.

- Ale co sie stalo?

- Zaczelismy badac przyszlosc skokami, po piecdziesiat lat. I nic. W kazdym przedziale czasu to samo. Miasta, drogi, budynki, owszem, ale zadnego zycia. Ludzie wymarli. Zaraza, promieniowanie czy co? - nie mamy pojecia. Ale cos musialo zabic tych ludzi. Tylko skad sie to cos wzelo? Nie wiemy. Poczatkowo tego nie bylo. W kazdym razie nasze pierwsze sondy nic nie ujawnily.

To my jestesmy odpowiedzialni za ten czynnik smierci. Mysmy go sprowadzili naszym ingerowaniem w przyszlosc. Nie bylo go, kiedy zaczynalismy; to nasza wina, Hasten. - Wood patrzyl na niego z twarza podobna do bialej maski. - To mysmy ten element wprowadzili i teraz musimy dojsc, co to jest, zeby go zlikwidowac.

- Jak zamierzacie to zrobic?

- Zbudowalismy wehikul czasu, zdolny przeniesc w przyszlosc jednego obserwatora. Wyslemy czlowieka, zeby zbadal sprawe. Fotografie to malo; musimy wiedziec wiecej! Kiedy sie to pojawilo? W jaki sposob? Jakie byly pierwsze objawy? **Co to w ogóle jest?** A jak juz bedziemy wiedzieli, to moze zdolamy ten czynnik wyeliminowac, wytropic go i usunac. Ktos musi sie udac w przyszlosc i ustalic, o co chodzi. To jedyna metoda.

Wood wstal i Hasten tez sie podniosl.

- Tym kims jestes ty - powiedzial Wood. - Jako osoba najbardziej kompetentna. Wehikul czasu stoi na zewnatrz, na placu, starannie strzezony. Wood dal sygnal. Do biurka podeszlo dwóch zolnierzy.

- Sir?

- Pójdziecie z nami polecil. My idziemy na plac, a wy pilnujcie, zeby nikt za nami nie poszedl. I zwrócił sie do Hastena. - Gotów?

Hasten zawahal sie.

- Zaczekaj chwile. Musze sie zapoznac z wasza praca. Zobaczyc, co zostalo zrobione. Zbadac sam pojazd. Ja nie moze... Dwaj zolnierze zblizyli sie do nich, wymownie patrzac na Wooda. Wood polozyl Hastenowi reke na ramieniu.

- Przykro mi - powiedzial - ale nie mamy ani chwili do stracenia; chodz, idziemy.

Dokola niego klebila sie ciemnosc, to naplywajac ku niemu, to sie cofajac. Siedzial na stolku przed klawiatura i ocieral pot z czola. Byl w drodze - na dobre czy na zle. Wood wylozyl mu pokrótce zasady dzialania pojazdu. Instruktaż trwal doslownie pare chwil, a potem ustawiono mu stery i metalowe drzwi sie za nim zatrzasnely.

Hasten rozejrzal sie dokola. W kuli bylo zimno; powietrze rzadkie i chlodne. Czas jakis obserwowal ruchy zegarów, ale zimno zaczelo mu sie dawac we znaki. Poszedl do szafki ze sprzetem. Kurtka, cieplejsza kurtka i bron laserowa. Wzial ja do reki i przygladal jej sie przez

chwile. I narzędzia. Wszelkiego rodzaju narzędzia i sprzęt. Odkladał właśnie bron, kiedy gluche dudnienie pod jego stopami nagle ustalo. Przez jedna straszliwa sekunde Hasten jakby unosił się, dryfując bez celu, po czym to wrażenie ustapilo.

Przez okno zajrzalo słońce kładac się jasna plama na podłodze. Zgasil światło i podszedł do okna. Wood nastawil stery na sto lat naprzód. Hasten przemógł się i wyjrzał.

Laka, kwiaty i trawa, jak okiem siegnac. Blekitne niebo i zeglujace po nim obłoki. W dali, w cieniu drzewa, stadko pasacych się zwierzat. Hasten podszedł do drzwi, otworzył je, wysiadł. Uderzyło go ciepło słoneczne i od razu poczul się lepiej. Teraz zobaczyl, że te zwierzeta to krowy. Przez dluzszy czas stal w drzwiach trzymajac się pod boki. Czy ta zaraza miała charakter bakteryjny? I czy przenosiła się przez powietrze? **O ile to w ogóle była zaraza.** Siegnal reka i namacal helm ochronny. Lepiej się z nim nie rozstawac.

Wrócił po bron, a następnie sprawdzil zamek, żeby się upewnić, że w czasie jego nieobecności drzwi pojazdu beda dobrze zamknięte. I dopiero wtedy wyszedł na lake starannie zamknawszy za sobą drzwi, rozejrzal się dokoła i ruszył szybko w stronę dlugiego pasma wzgórz odległego o jakies pół mili. Idac sprawdzil kompas elektroniczny na przegubie dłoni, który zaprowadzilby go z powrotem do pojazdu czasu, gdyby sam nie mógł trafic.

Podszedł do stadka krów, które podniosly się i oddalily, ale Hasten dostrzegł w nich cos, co go przejęło chłodem: miały male i pomarszczone wymiona. Nie były to wiec krowy domowe.

Na szczycie wzgórza przystanął i podniósł do oczu lornetke. Az po horyzont ciagnely się pola, cale mile suchych, zielonych, niczym nie urozmaiconych pól, niby fale oceanu. I nic wiecej? Obrócił się ogarniając wzrokiem widnokrag.

Nagle zastygl i nastawil lornetke. Hen, daleko w lewo, ledwie dostrzegalne, wznosily się strzeliste wieze miasta. Hasten opuscil lornetke i dzwignal swoje ciezkie buciory, a następnie zaczął wielkimi krokami schodzic z drugiej strony wzgórza: miał przed sobą daleka droge. Uszedł nie wiecej niż pół mili, kiedy zobaczyl motyle. Zerwały się nagle na kilka kroków przed nim, tanczac i trzepoczac w słońcu skrzydlami. Zatrzymal się, żeby odpoczac i przyjrzec się motylom. Były różnokolorowe - czerwono-niebieskie, nakrapiane zółto i zielono. Najwiecez motyle, jakie w zyciu widzial. Moze uciekly z jakiegos zoo i rozmnozyly się na wolności po zniknieciu człowieka? Motyle wznosily się coraz wyzej i wyzej. Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi poszybowały ku odleglym wiezom miasta; jeszcze chwila i znikly mu z oczu. Hasten znów ruszył przed siebie. Trudno było sobie wyobrazic smierc człowieka w takich okolicznościach - z motylami i trawą, i krowami w cieniu. Jakiz to spokojny i rozkoszny świat - bez rasy ludzkiej!

Nagle spośród trawy poderwal się z trzepotem ostatni motyl traćając go niemal w twarz. Hasten odruchowo machnal reka, żeby go przegonic. Motyl zderzył się z jego dłonia. Hasten zaczął się smiac...

Zrobilo mu się slabo z bólu; padł na kolana jeczac i wymiotujac. A potem runął, zgiety w kablak, ryjac twarza w ziemi. Rwała go cala reka, dosłownie zwijal się z bólu; czujac zawrót glowy, zamknal oczy.

Kiedy w koncu przewrócił się na plecy, motyla juz nie bylo; nie czekal.

Przez jakis czas Hasten lezal w trawie, następnie usiadł powoli i wreszcie z trudem dzwignal się na nogi. Zdjal koszule i obejrzał nadgarstek i dlon. Była czarna, twarda i juz zaczęła puchnac. Popatrzył na reke, a potem na odlegle miasto. To tam pofrunely motyle...

Wrócił do pojazdu.

Dotarł do kuli zaraz potem, jak słońce zaczęło zapadac w wieczorna ciemność. Drzwi rozsunely się za jego dotknięciem i Hasten wszedł do srodka. Posmarował dlon i ramie mascia z podrecznej

apteczki, po czym usiadł na stolku w głębokiej zadumie spoglądając na swoją reke. Małe uklucie, w gruncie rzeczy przypadkowe. Motyl nawet go nie zauważył. A jeżeli cała chmara... Poczekał, aż słońce zaszło całkowicie i na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno. W nocy wszystkie pszczoły i motyle znikają, a przynajmniej te, które znalazł. Będzie musiał zaryzykować. W ramieniu dalej czuł tępy ból i nieustanne pulsowanie. Maseczka nie pomogła; maciło mu się w głowie, a w ustach czuł gorączkę.

Zanim wysiadł, otworzył szafkę i wszystko z niej wyjął. Sprawdził pistolet laserowy, ale go odłożył. Po chwili znalazł to, czego szukał. Palnik acetylenowy i latarkę. Pozostałe rzeczy schował z powrotem i wstał. Teraz był gotów - jeśli to można tak nazwać. W każdym razie gotów, na ile to było możliwe.

Wyszedł w mrok świecić sobie latarką. Szedł szybko. Noc była ciemna i samotna; nad sobą widział zaledwie kilka gwiazd, a promień jego latarki był jedynym światłem pochodzącym od człowieka. Wdrapał się na wzgórze i zszedł z drugiej strony. W dali majaczył las, a potem już tylko gładka równina, wśród której z pomocą latarki odnajdywał właściwy kierunek.

Do miasta dotarł bardzo zmęczony. Miał za sobą kawał drogi i był zdyszany. Przed nim ogromne widmowe sylwetki wznosiły się w niebo i ginęły w ciemności. Miasto nie było duże, ale dziwne w formie - bardziej pionowe i strzeliste, niż Hasten przywykł widywać.

Wszedł przez brame. Między płytami chodnika rosła trawa. Zatrzymał się patrząc pod nogi. Wszędzie trawa i chwasty, a na rogach ulic, koło budynków, kosi, małe kupki kosi i kurz. Ruszył przed siebie świecić po ścianach wysmukłych budynków. Jego kroki odbijały się głuchym echem. I nigdzie żadnego światła. Poza jego latarkę.

Domów było coraz mniej i wkrótce Hasten znalazł się na rozległym placu, porośniętym krzewami i pnączami. W drugim jego końcu wznosił się budynek okazałszy od innych. Hasten ruszył w jego stronę przez pusty, bezлюдny plac świecić latarką na boki. Po zapadniętym stopniu wszedł na wyasfaltowany rynek i stanął jak wryty. Na prawo wznosił się następny budynek i ten przyciągnął jego uwagę. Serce waliło mu jak młotem. Nad wejściem latarka Hastena wydobyła z mroku wyrzeźbione wpisane w łuk słowo:

BIBLIOTHECA

O to mu właśnie chodziło, o bibliotekę. Wszedł po stopniach kierując się do ciemnego wejścia po uginających się pod nim deskach. W pewnym momencie zatrzymał się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami o metalowych uchwytach. Kiedy ujął te uchwyty, drzwi zwały się w jego stronę i zjeżdżając po stopniach runęły w ciemność. Buchnął duszący odór zgnilizny i kurzu.

Hasten wszedł do środka. Kiedy przemierzał milczące korytarze, pajęczyny czepiały się jego helmu. Zajrzał do pierwszego lepszego pomieszczenia. Tu znów kurz i szare szczątki kosi. A wzdłuż ścian niskie stoły i półki. Podszedł do półek i wziął kilka książek. Rozpadły mu się w rękach obsypując go deszczem płatków zbutwiałego papieru i nici. Czyżby rzeczywiście od jego czasu minął tylko wiek?

Hasten usiadł przy stole i otworzył jedną z książek w lepszym stanie. Słowa nie należały do żadnego ze znanych mu języków; był to jakiś język romanski, na ile mógł to ocenić, sztuczny. Przewracał kartkę za kartką. W końcu wybrał na chybił trafił stertę książek i ruszył do drzwi. Nagle serce skoczyło mu do gardła. Kiedy podchodził do ściany, trzesnęły mu się ręce: gazety. Brał ostrożnie pod światło kruche, szeleszczące kartki. Oczywiście język ten sam. Czarna tłusta czcionka wydrukowane nagłówki. Udało mu się zwinąć kilka gazet, które dołączył do wybranych książek. Po czym wrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

Kiedy znalazł się na stopniach, uderzyło go chłodne, świeże powietrze, które zakreciło mu w

nosie. Rozejrzal sie po mglistych zarysach otaczajacych plac budynków, a nastepnie ruszył przed siebie ostrożnie wyszukując droge. Dotarł do bram miasta i w chwile później był już na zewnątrz znów na tej samej płaskiej równinie i w drodze powrotnej do pojazdu.

Włókl sie bez konca ze zwieszona głowa. Wreszcie, zmordowany, na chwiejnych nogach, przystanął, z trudem łapiąc oddech. Położył na ziemi swój ładunek i rozejrzal sie dokoła. Daleko, na horyzoncie, pojawiła sie długa, szara smuga. Świt. Wstawalo słońce.

Owiał go zimny wiatr. W szarym świetle poranka drzewa i wzgórze rysowały sie twarda, zdecydowana kreska. Hasten spojrzal w strone miasta. Posepne, smukle, sterczały w góre kolumny opuszczonych budynków. Przez chwile patrzył zafascynowany, jak kładła sie na nich pierwsze kolory dnia. A potem kolor zbladł i między nim a miastem zawisła ruchoma mgła.

Nagle Hasten porwał z ziemi swój bagaż i zdjety strachem szybko ruszył przed siebie.

Z miasta strzelił w niebo i zawisł w górze czarny punkt.

Po jakimś czasie, dość długim, Hasten spojrzal w tamtą strone. Plama tkwila tam nadal, tyle ze sie powiększyła. I nie była już czarna; w jasnym świetle dnia mieniła sie wszystkimi kolorami teczy.

Hasten przyspieszył. Zszedł z boczem jednego wzgórze i wspiał sie na nastepne. Na chwile przystanął, żeby włączyć kompas elektroniczny. Tykał głośno - a więc kula była niedaleko. Hasten pomachał reka i tykanie zaczęło sie to wznosić, to opadać. W prawo. Wycierając spocone rece szedł dalej.

W kilka minut później spojrzal ze szczytu wzgórze; lśniaca metalowa kula spoczywała spokojnie na trawie ociekając chłodną nocną rosą. Wehikul czasu; ślizgając sie Hasten puscil sie ku niemu biegiem.

Przyciskał własnie ramieniem włącznik drzwi, kiedy na szczycie wzgórze pojawiła sie pierwsza chmura motyli i zaczęła cicho sunąć w jego strone.

Hasten zatrzasnął drzwi, zwalił swój ciężar i zaczął gimnastykować zdrewniałe ramiona. W rece czuł piekący ból. Ale nie było na to czasu - wyjrzał przez okno. Motyle roily sie teraz wokół kuli tancząc, smigając i polyskując kolorowo. Powoli zaczęły siadać na metalowym kadłubie, nawet na oknie. Nagle widok przesłoniły mu polyskliwe miekkie ciała, trzepoczące milionem skrzydeł. Hasten nasłuchiwał. Słyszał je - stłumione echa dochodzące ze wszystkich stron. Wewnątrz kuli zapanowały ciemności, motyle bowiem całkowicie przesłoniły okno. Hasten zapalił światło.

Czas mijał. Nie wiedząc, co robić, zaczął przeglądać gazety. Wracać? Posuwać sie do przodu? Może skoczyć o jakieś pięćdziesiąt lat? Motyle były niebezpieczne, ale przecież to nie o to chodziło, nie to był ten czynnik śmierci, którego poszukiwał. Spojrzal na swoja reka. Skóra była czarna i napięta, a obszar martwicy wyraźnie sie powiększał. Odczuł lekki niepokój; robiło sie coraz gorzej, nie coraz lepiej.

Dochodzący zewsząd odgłos skrobania zaczął mu działać na nerwy. Hasten odłożył książki i zaczął sie przechadzać tam i z powrotem. Jak mogły insekty, nawet tak duże jak te, zniszczyć rodzaj ludzki? Przecież ludzie daliby sobie z nimi radę. Sa w koncu proszki, trucizny, aerozole. Malenki odłamek metalu - dosłownie drobinka - spadł Hastenowi na rekaw. Strzepnął go. I następną drobinka, a potem male kawalki metalu. Hasten podskoczył, zadzierając głowe do góry. Nad nim tworzyło sie kolo; na prawo od niego drugie i trzecie. Wszędzie, w suficie i scianach kuli, powstawały koliste otwory, pobiegł do klawiatury i przycisnął przelacznik bezpieczeństwa. Deska ożyła. Następnie zajął sie tablica rozdzielcza, pracując gorączkowo, pospiesznie. Odłamki metalu spadały już teraz deszczem na podłoge. Czuc je było wyraźnie srodkiem zracym. Kwas? W kazdym razie jakiś produkt naturalnego wydzielania. Duży kawalek metalu wylądował na podłodze. Hasten sie obrócił.

Do kuli wdarły się motyle - trzepocząc się i tańcząc zaczęły go otaczać. Kawalek metalu, który spadł na podłogę, był równiutko wyciętym kółkiem. Ale Hasten nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Złapał palnik acetylenowy i zapalił. Płomien strzelił z sykiem. Kiedy motyle się zbliżyły, Hasten nacisnął spust i splunął ogniem. Powietrze ożyło plonącymi szczatkami, które obsypały go deszczem; kule wypełnił intensywny odór.

Hasten zamknął ostatnie wyłączniki. Światelka sygnalizatora zamigotały, podłoga pod jego stopami zadrżała. Pchnął główną dźwignię. Napierały wciąż nowe motyle, wpadając na siebie i walcząc o dostęp do kuli. Na podłogę spadło kolejne kółko metalu, wpuszczając do środka dalsze chmury owadów. Hasten, skulony, miotając ogniem próbował się cofać. Motyle napływały w coraz większych ilościach.

Nagle zaległa cisza, tak nieoczekiwana, że Hasten zamrugnął. Nieustanne, natarczywe skrobienie ustąpiło. Był sam, jeśli nie liczyć chmury popiołu i smieci wypełniających wnętrze kuli. Usiadł dygocząc na całym ciele. Bezpieczny już, wracał do swojego własnego czasu i nie ulegało wątpliwości, że znalazł przyczynę zagłady, której poszukiwał. Była tu, w kupce popiołów na podłodze, w metalowych kółkach zgrabnie wyciętych w karoserii pojazdu. Zręca wydzielina? Uśmiechnął się ponuro.

Ostatni widok tych motyli, peczniejącego obłoku, powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Pierwsze motyle, które przedostały się do pojazdu, były wyposażone w narzędzia, małe ostre narzędzia. Same sobie powycinały i wywierciły otwory przyfrunęły z własnym sprzętem.

Hasten usiadł czekając, aż pojazd skończy swoją podróż.

Strażnicy podbiegli, by mu pomóc wysiąść. Wygramolił się z trudem, wsparty na ich ramionach.

- Dzięki - mruknął. Pospieszył do niego Wood.

No jak, Hasten, wszystko w porządku? Hasten skinął głową.

- Tak. Z wyjątkiem mojej ręki.

- Chodź, wejdźmy do środka. - Weszli do wielkiego pomieszczenia. - Siadaj. - Wood niecierpliwie machnął ręką i żołnierz przyniósł krzesło. - Podaj gorącą kawę.

Przyniesiono kawę i Hasten zaczął ją powoli. Wreszcie odsunął filiżankę i opadł na oparcie.

- Możesz nam teraz powiedzieć? - spytał Wood. - Może.

- To proszę. - Wood usiadł naprzeciwko niego. Rozległ się szum magnetofonu, a w miarę jak Hasten mówił, kamera brała jego twarz. - No, śmiało, co tam znalazłeś?

Kiedy skończył, zaległa cisza. Nikt ze straży ani z techników się nie odezwał. Wood wstał dygocząc na całym ciele.

- Boże, czyli że załatwiły ich jakieś żywe organizmy o właściwościach trujących. Podejrzywałem coś takiego. Ale motyle? I to obdarzone inteligencją. Planujące swoje ataki. Prawdopodobnie bardzo gwałtownie się rozmnażały i błyskawicznie przystosowywały.

- Może książki i gazety coś wyjaśnia.

- Ale skąd one się wzięły? Czyżby to była mutacja którejś z istniejących form? A może to przybysze z innej planety? Albo efekt podróży kosmicznych. Musimy to jakoś wyjaśnić.

- One atakowały tylko ludzi - powiedział Hasten. Krowy zostawiały w spokoju. Tylko ludzkie istoty.

- Może zdołamy je jakoś unieszkodliwić. - Wood włączył wideofon. - Zwolamy nadzwyczajną sesję Rady. Przekazemy im twoją relację i uwagi. Wdrożymy specjalny program, utworzymy ośrodki na całej planecie. Teraz, kiedy już wiemy, co to jest, mamy szansę powodzenia. Dzięki tobie, Hasten, może nam się uda je w porę powstrzymać!

Pojawił się dyżurny operator i Wood dał mu numer Rady. Hasten patrzył tępo. Wreszcie podniósł się i zaczął spacerować po pokoju. Ramie pulsowało mu niemilosiernie. Wreszcie wyszedł na

zewnatrz. Kilku zolnierzy z zaciekawieniem ogladalo pojazd. Hasten obserwowal ich z calkowita obojetnoscia, a w glowie mial pustke.

- Co to jest? - spytal jeden z nich.

- To? - Hasten oprzytomnial, wolno podchodzac do zolnierza. - To wehikul czasu.

- Nie, mnie chodzi o to. - Zolnierz wskazal cos palcem. - Tego nie bylo, kiedy pojazd startowal. Hastenowi zamarlo serce. Zblizyl sie wytrzeszczajac oczy. Poczatkowo nie widzial nic na metalowej powloce, poza sladami korozji. Ale po chwili przejal go zimny dreszcz.

Na kadlubie pojazdu siedzialo cos malego, brunatnego i kosmatego. Dotknal tego reka.

Pochewka, sztywna, mala brunatna pochwka. Sucha - sucha i pusta. Nic w niej nie bylo i jeden koniec miala otwarty. Podniosl wzrok. Cala kule pokrywaly male brunatne pochwki - niektore jeszcze pelne, ale wiekszosc juz pusta.

Kokony.